

**Tadeusz Esman**

## **Wspomnienia. Pierwsze dni wolności w Bydgoszczy<sup>1</sup>**

Dzieje wyzwolenia Bydgoszczy w styczniu 1945 r. posiadają jedną wersję oficjalną, udokumentowaną datami, faktami, ruchami wojsk, siłą ognia itd. oraz wiele innych wersji nieoficjalnych, obecnych we wspomnieniach naocznych świadków. To co zanotowały oczy i uszy nie ogarnia wprawdzie całokształtu wydarzeń, tu i ówdzie jest być może nawet sprzeczne z oficjalną wersją, ale emocjonalny stosunek do przeżyć własnych sprawia, że obraz przeszłości staje się barwniejszy, tętni autentycznym życiem. Chciałbym dziś razem z wami, przeżyć to raz jeszcze. Opiszę poniżej historię mojej ucieczki z obozu pracy w Popiołach oraz wybrane fragmenty wydarzeń z pierwszych powojennych lat.

Nietypowy był dla mnie sylwester spędzony z kilofem w rękę w gwiazdzistą, mroźną noc z 1944 na 1945 rok w Popiołach, gdzie pracowałem w ramach niemieckiej Akcji Wisła (Einsatz Weichsel). Karne roboty zaaplikowano nam, po stwierdzeniu niebagatelnych zaległości przy fortyfikowaniu przedpola fortecy toruńskiej. Następne dni nie były weselsze. Od depresji ratowało nas przekonanie, że koniec wojny jest bliski, bardzo bliski. Kiedy piszę „nas” myślę o grupie Polaków Bydgoszczan, których zbliżyły do siebie wspólna niedola okupacyjna i wspólna kolumna robocza. Do grupy tej należał również kolega Józef Kotowski. Uczył on później języka polskiego w waszej [dzieci autora wspomnień – przyp. red.] szkole.

Front znajdował się daleko, między Narwią a Wisłą, co najmniej 200 kilometrów w linii prostej od miejsca przymusowego pobytu. Tak wydawało się nam do chwili, kiedy w nocy z 14 na 15 stycznia usłyszeliśmy głucho, miarowo dudnienie. Na dziedzińcu młeczarni w Popiołach zebrał się różnorodny tłum: Włochów, Francuzów i Polaków, ze wzrokiem skierowanym na południowy wschód,

<sup>1</sup> Wspomnienia opracował i spisał Janusz Esman, syn autora.

gdzie rozlała się na niebie krwawa luna, powietrze drgało odgłosami kanonady. Ponad dwieście kilometrów odległości, a tu blisko przed nami, jak gdyby widać pola bitwy. „No, teraz czas pakować manatki” – wypowiedziałem głośno myśl, która mnie nurtowała od dłuższego czasu. Obok mnie stał nasz dozorca i poganiacz Niemiec Gehrke. Po chwili usłyszałem jego syczący głos: „Esman, pan zwariował, to nasza artyleria wstrzeliwuje się w pozycje nieprzyjacielskie”. Wbrew temu, co powiedział, następnego dnia skorzystał z rady i wyjechał. Był na tyle przyzwoity, że przy pożegnaniu zabrał kartkę przeznaczoną dla mamy z zawiadomieniem o ofensywie radzieckiej i moim rychłym powrocie. Gehrkego spotkałem niespodziewanie dwa tygodnie później na ulicy Dworcowej. Do obozu dla internowanych Niemców odprowadzał go wtedy kolega Kotowski, już z biało-czerwoną opaską na rękawie. Tymczasem w Popiołach wzrastało nerwowe podniecenie. 16 stycznia na drodze z Aleksandrowa Kujawskiego do Bydgoszczy pojawiły się pierwsze pojazdy, początkowo samochody, a w nich panowie w czarnych i brunatnych mundurach. Później pojazdy konne różnego typu, załadowane ludźmi i ich dobytkiem. W tym bałaganie można było dostrzec elementy organizacji typu niemieckiego. „Mrowisko” dzieliło się na kolumny złożone z kilkuset pojazdów. Na czele byli brunatni komendanci. Ich pokrzykiwania i rozkazy niesły się donośnie wokół.

My też przygotowaliśmy się do ucieczki. W krótkim czasie każdy z naszej „paczki”, stał się właścicielem własnoręcznie zmontowanych sań. Niektórzy mieli nawet płozy sanek obite blachą. Nie wiem, skąd mieli blachę. Czekaliśmy już tylko na sprzyjającą okazję. Rano 19 stycznia rozeszła się pogłoska o likwidacji obozu i transporcie do Berlina. Mieliśmy tam podobno odgruzowywać miasto. Działać trzeba było bezzwłocznie, każda godzina była na wagę złota. Niespodziewanie przyszło nam z pomocą lotnictwo radzieckie. Byliśmy świadkami nalotu myśliwców i bombowców na mizerne dzieło naszych rąk. Nagle wokół zrobił się kompletny bałagan, pociski artylerii przeciwlotniczej padały na nasze umocnienia, jakiś samolot płonął w powietrzu. Bodajże dwa białe spadochrony unosiły się w powietrzu. Padał śnieg, był siarczysty mróz. Szanse ucieczki wykorzystaliśmy bezbłędnie. W chwili kiedy opuszczaliśmy Popioły nadjechało auto ciężarowe z gestapowcami, którzy prawdopodobnie mieli opanować sytuację. Na szczęście nas nie zauważyli. Trasa ucieczki wiodła półkolem, początkowo w stronę Gniewkowa, gdzie palił się dworzec, dalej lasami na północny zachód. Przygoda goniła przygodę, jeżeli tak można określić tę dramatyczną sytuację. Późną nocą dotarliśmy do osady leśnej – kilka nędznych zabudowań. Nazwy tego miejsca nie pamiętam. Zaczęliśmy pukać do chałupy, która wydawała się być zamieszkała. Po dłuższym kołataniu wyszła starsza kobieta, spojrzała na nasze nieogolone twarze

i w krzyk! „Panowie partyzanci – szukajcie kwater gdzie indziej, Niemcy mnie powieszają, jak was tu znajdą”. Wreszcie po dłuższych pertraktacjach skierowała nas do walącej się rudery na skraju osady. Sceneria przypominała stajenkę beblejemską – siano, stary żłób, i 12 „partyzantów”, a przez dziurę w dachu widać gwiazdy. Po kilku godzinach wątpliwego odpoczynku ruszyliśmy znów w drogę. Cały czas towarzyszyły nam odgłosy strzałów, już nie tylko ze wschodu i południa, ale również z zachodu, a chwilami nawet z północnego zachodu. Wydawało się, że idziemy w sam środek kotła, który zamykają wojska radzieckie w okolicy Bydgoszczy.

W niedzielę 20 stycznia wieczorem wyszliśmy z lasów w pobliżu Solca Kujawskiego. Miasto zapchane było wojskiem. Na rynku tabory dywizji SS, obcy język – prawdopodobnie Łotysze. Trudno to było w danym momencie nazwać regularnym wojskiem, przypominało raczej tabor cygański. Na wozach toboły obok instrumentów muzycznych. Woźnicom towarzyszyły „wędrówne panny” podejrzanego konduity. Aż wierzyć się nie chciało, że właśnie ta dywizja Grenadierów SS Lettland stawiała zaciekle opór na słynnym Wale Pomorskim. Dwie godziny później minęliśmy Łęgowo. Tu pożegnałem kolegów, którzy spieszyli do domów ulicą Toruńską. Korzystając z okazji, chciałem złożyć wizytę bliskiemu znajomemu panu Goncerzewiczowi, który administrował gospodarstwem rolnym należącym do Huty Szkła Butelkowego. Poprzednio byłem u niego wiosną. Z tamtej wyprawy przywiozłem do domu „łup wojenny” w postaci ogromnej gęsi. Gęś z pełnym upierzeniem nie mieściła się w mojej torbie. Pan Goncerzewicz pożyczył mi duży plecak, w którym z trudem, po odcięciu głowy ptaka, upchnęliśmy „łup”. Tym razem w Łęgowie spodziewałem się uzyskać wiadomości naświetlające aktualną sytuację. Trafiłem w dziesiątkę – informacje były istotnie sensacyjne. W godzinach rannych tegoż dnia odbyła się w zabudowaniach huty, położonych w pobliżu jego domu, narada niemieckich władz wojskowych i cywilnych Bydgoszczy. Znajomemu udało się podsłuchać fragment ich rozmowy. Otóż uczestnicy narady podjęli decyzję o szybkim opuszczeniu Bydgoszczy. Uważali, że zorganizowanie skutecznej obrony miasta jest niemożliwe i wobec tego trzeba przesunąć linię obronną na północne wzgórze w Myślęcinku. W naradzie uczestniczyło kilkunastu bydgoskich bonzów, między innymi prezydent bydgoskiej policji Karl von Salisch i szef władzy administracyjnej – prezes rejencji Walther Kühn. Cała czołówka hitlerowskich „władców” Bydgoszczy istotnie uciekła z miasta w kierunku Gdańska. Z Bydgoszczy wycofały się także jednostki regularnej armii niemieckiej. Na marginesie dodam, że realizacja wspomnianego planu spowodowała fatalne następstwa dla niektórych uczestników spotkania. SS-Standartenführer Karl von Salisch za „tchórzostwo i sianie defetyzmu” został

skazany przez niemiecki sąd wojenny w Gdańsku na karę śmierci i rozstrzelany przed plutonem egzekucyjnym. Szef władzy administracyjnej, prezes rejencji Walther Kühn znalazł się w karnym batalionie szturmowym SS, co wydawało się równoznaczne z wyrokiem śmierci. Później okazało się, że Kühn przeżył i po wojnie osiadł w Niemczech Zachodnich. Brał nawet aktywny udział w życiu politycznym w NRF. Wielu innych bydgoskich okupacyjnych bonzów, podobnie jak Kühn znalazło spokojny „azyl” w powojennych Niemczech.

O naradzie w Łęgnowie nie znalazłem żadnych wzmianek w dostępnych mi źródłach, a szkoda, bo w gruncie rzeczy miasto nasze szczęśliwie uniknęło losu Wrocławia, Poznania, Grudziądza i innych polskich miast. Straty materialne były stosunkowo małe, nie tylko dzięki błyskawicznej ofensywie wojsk radzieckich i polskich, ale także dzięki próbie logicznego myślenia i działania niektórych Niemców na eksponowanych stanowiskach. Nie namawiam, aby zbrodniarzy w rodzaju Kühna i von Salischa traktować jako naszych „dobrodziejów”, niemniej jednak w imię prawdy historycznej, a nie polityki historycznej, trzeba dokonać racjonalnej oceny ich decyzji.

20 stycznia byłem daleki od tego rodzaju refleksji. Uskrzydłony pomyślnymi wieściami spieszyłem do domu. Po krótkim namyśle wybrałem trasę marszu przez most przy ulicy Spornej. Fatalna pomyłka, która mogła położyć kres udanej ucieczce. Nagle z mroku wyłoniło się szereg postaci. W skąpym świetle latarni dostrzegłem brunatne mundury SA i czarne SS. Tłumaczę im, że nalot, że obóz rozbity, że zostaliśmy zwolnieni do domu. Otoczyli mnie kołem, oglądali bagaż, zdobyczne koce i słój miodu znalezionej w opuszczonej leśniczówce. To ich jednak nie interesowało. Żądali tylko odpowiedzi na pytanie – Polak czy Niemiec? Po chwili wahania, czort wie jak będzie lepiej, odpowiedziałem – Polak. Szept, krótka narada, potem drugie pytanie, czy żonaty i ile mam dzieci? Powtórne szept. Siódme poty biją. Wreszcie podchodzi do mnie grubas w brunatnym mundurze. Uśmiecha się krzywo i mówi: „Ma pan szczęście, że jest Polakiem, droga wolna, żona na Pana czeka”. Tego uśmiechu nie zapomną nigdy. Coś zmieniło się w mentalności i zachowaniu Niemców w ostatnich dniach. Niedawno jeszcze, przed tygodniem, człowiek w takim samym mundurze zmuszał nas z rewolwerem w ręku do ciężkiej niewolniczej pracy. Ta metamorfoza sygnalizowała chyba chęć powrotu do niemieckiej dewizy życiowej, modnej po przegranej I wojnie światowej: *Leben und leben lassen* – *żyć i dać innym żyć*. Rad z pomyślnie zakończonej przygody, przyspieszyłem kroku. Kątem oka dostrzegłem dwie miny przeznaczone na wysadzenie mostu w powietrze. Ulicą Fordońską przemierzałem się w kompletnych ciemnościach, rozglądając się niepewnie po bokach. Nastrój nerwowy, ulica pusta. Od czasu do czasu padały z ogrodów po lewej stronie

strzały z broni małokalibrowej. Nie wiem, kto strzelał. Widziałem tylko błyski, ale miałem prawo przypuszczać, że kule wysłano pod moim adresem. Wydłużyłem kroki. Na chwilę zainteresowały mnie ogniska rozpalone w taborze niemieckich uchodźców. Słyszałem płacz dzieci. Podobne sceny oglądałem niegdyś w dniach wrześniowej klęski. Tylko wówczas było ciepłej.

Nie czas na refleksje. Pierwsze latarnie. Wyłaniają się kontury zwartej zabudowy domów. Skończył się też śnieg. Zmajstrowane własnoręcznie sanki, przedmiot kpin kolegów z Einsatzu, stukały głośno i wesoło po bydgoskim bruku. Nikt nie reagował na zakłócanie nocnej ciszy. W okolicy kościoła Klarysek spotkałem kilku przechodniów przemierzających szybkim krokiem ulice. Niektórzy dźwigali walizy. Na podwórzach gmachów publicznych wzdłuż ulicy Marszałka Focha i Nakielskiej paliły się stosy papierów. Niemcy niszczyli widocznie to, czego nie udało się zabrać. Sumując obserwacje, doszedłem do wniosku, że informacje znajomego z Łęgnowa są ściśle i być może już jutro miasto będzie wolne. Niestety, spotkał mnie zawód. Bydgoszczy nie broniono wprawdzie za każdą cenę, realizując plan pozostawienia za sobą „spalonej ziemi”, tak jak Poznania czy Gdańska, ale walki opóźniające ciągnęły się przez kilka dni. Kiedy rankiem 21 stycznia zobaczyłem na ulicy Nakielskiej patrol policji niemieckiej i Volkssturmu, nic nie zapowiadało rychłej zmiany. Warunki aprowizacyjne ludności pogarszały się z godziny na godzinę. Ogonki przed sklepami z żywnością wydłużały się. Zabrało mleka. Wystawanie w kolejkach stawało się niebezpieczne od chwili, kiedy zaczęły padać pociski artyleryjskie. Sam znalazłem się w groźnej sytuacji. Czerpałem właśnie wodę ze studni, kiedy padł szrapnel, jak mi się wydawało, tuż nad głową. Dwa ostatnie dni spędziliśmy z pięciomiesięcznym dzieckiem na stosie węgla w prowizorycznym schronie przy ulicy Chłopickiego. Moja matka, a waza babcia Tekla, inicjowała od czasu do czasu zbiorowe modlitwy. Miała w tym spore doświadczenie, bo była przez wiele lat Opiekunką Generalną Żywego Różańca Matek w Parafii Archidiecezjalnej w Poznaniu. Echa gęstej strzelaniny dochodziły do nas już nie tylko od strony południowej, ale i od zachodu, chwilami nawet od północy, gdzieś z okolic Czyżkówka. Barometr nadziei podniósł się wysoko w nocy z 22 na 23 stycznia, kiedy przy akompaniamencie ogłuszającej strzelaniny, ulicą Nakielską przemknęło kilkanaście czołgów, przypuszczalnie radzieckich. Dzień przyniósł ponowne rozczarowanie. Na ulicach znów niemieckie mundury – trudno, trzeba czekać. Nocny incydent z czołgami nastreczył historykom trochę kłopotu. Okazało się, że był to zagon drugiej armii Frontu Białoruskiego, dokonany od strony Nakła. Zrobił on też zamieszanie przy ustalaniu chronologii walk o oswobodzenie miasta. Dowódca grupy czołgów doniósł bowiem do sztabu armii, że Bydgoszcz jest już wolna.

24 stycznia rano około 6. strzelanina zaczęła cichnąć. Wyszedłem z sąsiadem Romanem Zielińskim ze schronu, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Szary świt, ulica pokryta grubą warstwą śniegu. Spoglądaliśmy w kierunku ulicy Nakielskiej. Nagle z lewej strony, zza węgła narożnikowego domu wyłoniła się głowa z papachą, potem druga. Czyjeś oczy lustrowały bacznie naszą ulicę. Z radosnym okrzykiem pobiegliśmy witać gości, na których czekaliśmy przez pięć koszmarnych lat. W skład patrolu wchodził jeden Rosjanin i jeden Polak, chociaż też w mundurze radzieckim. Na dłuższą rozmowę nie było czasu. Akcja niezakończona, walka trwała. Oczy żołnierzy wciąż niespokojne, palce kurczowo zaciśnięte na pepeszy. Jeszcze tylko krótka informacja, że Niemców nie ma w pobliżu. Ruszyli dalej, aby wypędzić Niemców z Bydgoszczy. My byliśmy już wolni.

Kilka godzin później ulice i place zaroily się od wojska. Wzruszający był widok polskich czołgów brygady pancerniej im. Bohaterów Westerplatte. Kilka zatrzymało się na podwórzu przed domkiem, w którym spędziłem ostatnie lata okupacji. Dzieciarnia, jak zwykle ciekawa, wdrapywała się na wieżyczki i lufy armatnie. Gościłem u siebie dowódcę czołgu, porucznika. Często wałem tym, co miałem, a miałem tylko herbatę z suszonych strużyn jabłkowych i suchy chleb. Oficer wprawdzie mówił źle po polsku, ale miał złote serce. Dzielił się też swoimi własnymi skromnymi zapasami. Szczególną radość sprawił wam – dzieciakom, wydobywając z torby niemiecką czekoladę. Smakołyk nieznanym polskim dzieciom od okresu, kiedy czekolada była „nur für Deutsche”. Nie wiem, co stało się z sympatycznym porucznikiem. Podobno zginął.

Następnego dnia, tj. 25 stycznia, po upewnieniu się, że miasto po prawej stronie Brdy jest już wolne, udałem się na dłuższy rekonesans. Z okien powiewały liczne polskie flagi. Z trudem przepychałem się przez zatłoczone ulice pełne wojsk, zwłaszcza niezliczonych ilości pojazdów różnego typu. Wojska rosyjskie i polskie dysponowały głównie samochodami amerykańskimi. Szczególnie duże zagęszczenie powstało w okolicy mostku, nad kanałem, łączącego ulicę Nakielską z Wrocławską. Był to wówczas bodaj jedyny nieuszkodzony most na najkrótszej drodze z Bydgoszczy na północ. Przez to wąskie gardło przejść musiały kolumny wojska ścigające wroga. Z troską patrzyłem w niebo. Lotnictwo niemieckie wykazywało na szczęście niewiarygodną beczynność. Coraz więcej cywilów, wiele roześmianych twarzy. Liczba osób odurzonych nie tylko radością z odzyskanej wolności, powiększała się intrygująco w miarę zbliżania się do placu Poznańskiego. Podejrzanie skonkretyzowało się, kiedy ujrzałem tłum przed wytwórnią wódek Flathego. Śnieg przed bramą zabarwił się różnokolorowym płynem, bo nie wszyscy amatorzy ognistych trunków zdołali udźwignąć łupy bez szwanku. Podobne sceny „uspołeczniania prywatnej własności” miałem

zresztą okazję zaobserwować także w innych dzielnicach miasta. Rekonesans zakończył się w okolicy Starego Rynku. Tam padały gęsto strzały z lewego brzegu Brdy. W gmachu Starego Teatru zagnieździła się silna jednostka niemiecka, która utrudniała przeprawę przez Brdę. Teatr był pod ostrzałem radzieckiej artylerii i palił się.

Wieczorem tegoż dnia otrzymałem wiadomość, że władzę cywilną w mieście przejął Tymczasowy Komitet Obywatelski. 26 stycznia w godzinach przedpołudniowych zaofiarowałem przewodniczącemu Komitetu swoją pomoc. Przewodniczącym był porucznik Wojska Polskiego Roman Borowski. Młody dwudziestokilkulatek. Wyróżniał się energią i pracowitością. Główną jego zaletą był żelazny spokój. Inny, psychicznie mniej odporny, już po kilku godzinach urzędowania załamałby się prawdopodobnie w tym rozgardiaszu nie do opisanego. Gabinet przewodniczącego, chyba jedyny ogrzewany lokal w ratuszu, przypominał pszczeli ul. Pamiętam scenę, kiedy wyczerpany, po 24 godzinach nieprzerwanej pracy, z przymkniętymi powiekami udzielał wywiadu korespondentowi wojennemu radzieckiego radia. Chyba żaden ojciec miasta nie dźwigał takiego ciężaru zadań i odpowiedzialności, jak on.

Ówczesną sytuację gospodarki miejskiej można określić tylko jednym słowem – chaos. Chaos, który powiększał się, w miarę jak miasto ogarniała fala „wędrówek ludów”. W pierwszych dniach wolności władza Komitetu Obywatelskiego obejmowała w zasadzie tylko Stary Rynek. W innych dzielnicach miasta było w miarę bezpiecznie, tam gdzie stacjonowały jednostki wojskowe. Ze względów bezpieczeństwa ludzie nie wychodzili wieczorami na ulicę. Od pierwszych dni, początkowo przy akompaniamencie huku dział, grono ofiarnych społeczników kładło fundamenty pod przyszły porządek rzeczy. Najczęstszą tematyką obrad Komitetu Obywatelskiego była, jeżeli dobrze pamiętam, aprowizacja i trudności związane z uruchomieniem przedsiębiorstw, zwłaszcza elektrowni miejskiej. Borowski przyjął mnie z otwartymi ramionami. „Spadł mi pan z nieba – jest u mnie porucznik Jerzy Lawina Świętochowski, który chce zabezpieczać polskie miasto kulturalne. Niech mu pan pomoże” – powiedział. Tak mniej więcej brzmiały pierwsze słowa powitania.

Wysoki, błądy porucznik Świętochowski był popularnym kompozytorem muzyki lekkiej. Skomponował między innymi muzykę do operetek: „Panna Wodna” i „Rajski Ptak”. Wówczas występował jednak w roli kierownika artystycznej ekipy wojskowej. Z zaskoczeniem przyjąłem wiadomość, o nagłej śmierci porucznika Świętochowskiego w sierpniu 1946 r. w Bydgoszczy. Do ekipy należała również rodowita bydgoszczanka Ola Obarska, w mundurze sierżanta wojsk polskich. Po otrzymaniu biało-czerwonej opaski i legitymacji z pieczętą polskiej

komendy wojskowej oraz podpisem chorążego Jakusza, ruszyłem z porucznikiem Świętochowskim na poszukiwanie mienia kulturalnego. Prawdę mówiąc, niewiele tego było. Najcenniejsze zbiory wywieźli Niemcy. Część eksponatów muzealnych znajdowała się w schronie w gmachu Miejskiej Kasy Oszczędności, który teraz zajmuje Oddział Narodowego Banku Polskiego przy ulicy Jagiellońskiej. Ograniczyliśmy się więc do zabezpieczenia gmachów, w których mieściło się Archiwum Państwowe i Biblioteka Miejska. Na drzwiach wejściowych umieszczaliśmy duże plakaty. Na biało-czerwonym tle widniał napis: Polskie Mienie Narodowe. Powierzone mi zadanie, mimo pozornej prostoty, nie należało do najłatwiejszych. Droga do Archiwum Państwowego prowadziła przez złamane, pokryte lodem, przęsła mostu przy ulicy Bernardyńskiej. Przeprawa odbyła się częściowo na czworakach. Na ulicy Dworcowej, gdzie mieścił się gmach instytucji panowała cisza, jak makiem zasiał. Zaniepokoiło mnie jedynie działo u wylotu ulicy Królowej Jadwigi, z lufą skierowaną w stronę placu Piastowskiego. Przypomniało mi to, że znajduję się na linii frontu. O tym, jak było tu gorąco miałem okazję przekonać się już następnego dnia. Duży narożnikowy dom, pod którym stało działo leżał w gruzach. Uszkodzony był też gmach Archiwum Państwowego. Po nalepieniu plakatów porucznik Świętochowski uważał, że zadanie zostało chwalebnie wykonane i mienie narodowe uratowane. Ja uważałem inaczej!

Bezpańskie gmachy publiczne, liczne pożary spowodowane dywersyjną działalnością niemieckich podpalaczy, ale i nierzadko lekkomyślnością żołnierzy radzieckich, mnożące się dowody braku poszanowania mienia społecznego, zrodziły myśl utworzenia organu społecznego realizującego zadania, których celem było zabezpieczenie państwowej substancji majątkowej, zwłaszcza dorobku kultury. Przewodniczący Tymczasowego Komitetu Obywatelskiego Roman Borowski zatwierdził przedłożony przeze mnie projekt działania Komitetu Ochrony Mienia Państwowego i Kulturalnego i już następnego dnia, 28 stycznia, Komitet, oficjalnie rozpoczął działalność. W ciągu kilku dni udało się nam zabezpieczyć szereg gmachów zagrożonych dewastacją, instalując w nich dozorców. Funkcja dozorczy w tamtych dniach nie należała do bezpiecznych, więc byliśmy szczęśliwi, że znaleźliśmy kilku odważnych ludzi. Główną uwagę skierowaliśmy jednak na zabezpieczenie akt, książek i dzieł sztuki, rozszerzając pole działania również na zbiory w ponemieckich domach prywatnych. W skład Komitetu weszło kilku kolegów z Einsatzu w Popiołach, przeważnie nauczycieli. Ochotników do współpracy było bardzo dużo. Szczególnie licznie zgłaszała się młodzież. Większość zgłaszających się chętnie brała udział w akcji, chcieli użytecznie wypełnić czas przed powrotem do ław szkolnych, względnie do nieczynnych jeszcze zakładów pracy. Liczba zatrudnionych była więc płynna. W sumie w realizacji



zadań Komitetu uczestniczyło kilkaset osób. Mielimy wprawdzie kilku filatelistów z żyłką kolekcjonerską, dbających bardziej o interes własny, ale to był margines. Jednego z nich musiałem zwolnić, bo ukradł duży album ze znaczkami. W sumie zabezpieczyliśmy w ciągu niespełna dwóch miesięcy około sto tysięcy książek i kilkanaście tysięcy akt. Do najcenniejszych należały akta ciechanowskiego gestapo, częściowo bydgoskiego, które wydobyliśmy z niedopalonego stołu na dziedzińcu byłego gmachu bydgoskiego Gestapo. Sama kartoteka więźniów obejmowała około 15 tysięcy pozycji.

Siedziba Komitetu mieściła się w gmachu późniejszej Wojewódzkiej Rady Narodowej przy ulicy Jagiellońskiej, gdzie w czasie okupacji niemieckiej urzędowała okręgowa władza administracyjna, wspomniana rejencja. Po raz pierwszy zajrzałem do gmachu 26 stycznia. Na parterze i częściowo na pierwszym piętrze zastałem dość smutny obraz. Drzwi wejściowe uszkodzone, okna rozbite. Ślady strzałów na ścianie i kilka porzuconych karabinów świadczyło, że niedawno bronili się tu Niemcy. Szkody jednak w gruncie rzeczy były niewielkie. W innych częściach budynku panował wzorowy porządek. Z przyjemnością patrzyłem na gustowne umeblowanie pokoi. Wyposażenie niektórych gabinetów było czasem komfortowe. Na ścianach cała galeria starych obrazów. Cóż to jednak znaczyło w zestawieniu z setką maszyn gotowych do pisania. Wątpię czy takim wyposażeniem dysponowało w tym czasie jakiegokolwiek starostwo w Warszawie. O nagłym porzuceniu miejsca pracy świadczyły leżące na biurkach i stołach: zegarki na rękę, wieczne pióra, szaliki, ba nawet dwie pary damskich bucików. Doszedłem do wniosku, że do gmachu nie wolno było wpuszczać. Była to idealna siedziba dla przyszłego Urzędu Wojewódzkiego. Postanowiłem więc „okupować” budynek do czasu przyjazdu wojewody. O słuszności decyzji przekonałem się już następnego dnia, kiedy w centrali telefonicznej wybuchł pożar – dzieło rąk niemieckich podpalaczy. Tylko dzięki przytomności umysłu mego zastępcy udało się pożar zlokalizować. Gmachu broniliśmy skutecznie przed apetytami złodziei i innych podejrzanym typów. Pomagał mi dzielnie porucznik Smoliński, który spełniał rolę łącznika z ekipą wojskowo-polityczną majora Antoniego [właśc. Nachum, Nochim, przyp. red.] Alstera. Porucznik Smoliński ostrzegł mnie jednak, że długo tego cennego obiektu nie utrzymam. Byłem, niestety niepoprawnym optymistą i czekałem cierpliwie na zakończenie sporu między kierownictwami Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej w sprawie siedziby województwa. PPR był za Bydgoszczą, a PPS za Toruniem.

Tymczasem zjawił się jeszcze jeden pretendent, przed którym musiałem skapitulować. Toczyły się zacięte walki o Wał Pomorski. Przybywało coraz więcej rannych. W związku z tym rosło zapotrzebowanie na szpitale. Na przełomie lutego

i marca złożył mi wizytę lekarz, pułkownik wojsk radzieckich i wyraził chęć zajęcia gmachu. Ponieważ nie znałem języka rosyjskiego, przyjąłem propozycję jednego z nauczycieli, który zaoferował swoje usługi w charakterze tłumacza. Popełniłem fatalny błąd. Okazało się, że tłumacz podjął się roli pośrednika po to, aby upiec „własną pieczęć”. Szukał bowiem budynku dla szkoły, którą organizował, a ponieważ w większości budynków szkolnych mieściły się szpitale, więc w zamian za obszerny gmach wojewódzki wytargował dla siebie mniejszy gmach szkolny na Szwederowie. Pułkownik okazał się antypatycznym typem. Starłem się nawiązać z nim rozmowę, ale ten mówił krótkimi, urywanymi zdaniami. Pokazał mi papiery napisane po rosyjsku i podpisane przez rosyjskiego Komendanta Wojennego, z których wynikało, że ma upoważnienie do zajmowania budynków z przeznaczeniem na szpitale. Te dokumenty były przetłumaczone na polski. Zapytałem go, kiedy powstanie tu szpital i kiedy mamy opuścić gmach. Odburknął mi niechętnie, że gmach obejmuje od razu, później się poprawił, mówiąc: „daję wam 12 godzin na opróżnienie budynku”. Kazał się oprowadzić po gmachu. Weszliśmy też do stołówki i przylegającego magazynu z żywnością. Widząc półki z żywnością, nie mógł obejść się bez złośliwego komentarza: „faszyści zostawili wam sporo zapasów”. Powiedziałem mu, że w ciągu 12 godzin nie zdołamy opróżnić gmachu. Odpowiedział: „A co mnie to obchodzi, jest wojna, nasi żołnierze też za was się biją, wystawiamy wam drobny rachunek, a wy wyklóćacie się o kilka godzin!” Kiedy powiedział o tych 12 godzinach nasza mnie smutna refleksja. Jak Niemcy wyrzucali nas z mieszkania na Kozietulskiego, dali nam miesiąc na jego opuszczenie, a ten Rosjanin daje nam teraz 12 godzin. Gorzka ironia losu! W maju 1945 r. znowu dostałem termin na opuszczenie mieszkania na Asnyka od radzieckiej Komendy Wojennej – tym razem było to 48 godzin. Po wyjściu pułkownika udałem się do Ratusza, aby zrelacjonować, co się wydarzyło. Chciałem rozmawiać z prezydentem, ale go nie było. Skontaktowałem się z kilkoma urzędnikami – przyrzekli pomoc w zorganizowaniu transportu przedmiotów zgromadzonych w gmachu rejencji. Mieli też przysłać więźniów do pomocy. Ja sam organizowałem znowu moich „pracowników” – tym razem do wnoszenia zbiorów. Większość została przeniesiona na ulicę Pocztową, do budynku zwanego Lombardem.

Sądzę, że sprawa była już beznadziejna w chwili zjawienia się pułkownika. Można było jedynie uzyskać lepsze warunki opróżnienia gmachu rejencji. W ciągu 12 godzin nie udało się, niestety uratować całości materiałów zabezpieczonych przez Komitet Ochrony Mienia Państwowego i Kulturalnego. Te najcenniejsze jednak zostały zabezpieczone w pierwszej kolejności. Następną noc spędziłem w gmachu rejencji – pracowaliśmy prawie do rana. Do południa przed budynkiem

pojawiło się auto ciężarowe. Wsiadł z niego młody radziecki lejtnant. Ten okazał się sympatyczny. Podeszedł do mnie i zapytał: „Pan kierownik?” Mówił trochę po polsku. Powiedział, że przyjechał się rozejrzeć, bo niedługo przywiozą łóżka szpitalne. To „Pan” w ustach Rosjan brzmiało czasami sympatycznie, a czasami złośliwie – wtedy kiedy chcieli podkreślić negatywny stosunek do „pańskiej Polski”. W rezultacie, kiedy w kwietniu 1945 r. zadecydowano o przeniesieniu Urzędu Wojewódzkiego z Torunia do Bydgoszczy, trzeba było rozpocząć urzędowanie w warunkach skrajnego prymitywizmu. Taki był koniec jednej z licznych inicjatyw w czasie budowy podstaw pod nowy porządek rzeczy w wolnej Bydgoszczy.

Dnia 21 lutego w gmachu ratusza obradowała Konferencja Międzypartyjna, której celem było wyłonienie kandydatów do Tymczasowej Rady Narodowej Miasta Bydgoszczy. Radę powołano w 40-osobowym składzie. Gdy się patrzy na informację o powołaniu Rady zamieszczoną w ulotce o nazwie Wiadomości Bydgoskie, to wynika z niej, że najwięcej miejsc przypadło związkom zawodowym. PPR miała kilka mandatów, a Stronictwo Demokratyczne „podobno” trzy. Do Rady z ramienia SD mieli wejść: inż. Julian Jankowski – pierwszy prezes Stronictwa Demokratycznego w Bydgoszczy, Władysław Jagniewski i ja – Tadeusz Esmen. W Radzie Narodowej znalazła się także pani farmaceutka mgr Irena Cierniak, podobno bezpartyjna. Wiem, że pani Cierniak była już wtedy członkiem SD, bowiem uczestniczyła w inauguracyjnym posiedzeniu pierwszego koła naszej partii w dniu 7 lutego 1945 r. Nie wiem, czy podanie nieprawdziwych faktów było celowe, czy też była to zwykła pomyłka, o jaką w tych trudnych czasach było nietrudno. Władysław Jagniewski należał w tym czasie już do PPR, natomiast ja byłem formalnie bezpartyjny, chociaż mandat w Radzie dostałem z poparciem SD. Do Stronictwa przystąpiłem dopiero 15 marca 1945 r., co wynika z zachowanych dokumentów.

Pierwsze posiedzenie Rady Narodowej odbyło się w ratuszu dnia 24 lutego. Wśród radnych znalazł się między innymi ksiądz proboszcz Mieczysław Skonieczny z parafii Świętej Trójcy. Księdza znałem jeszcze sprzed wojny, gdy mieszkalem na ulicy Grunwaldzkiej. Wtedy to ksiądz proboszcz bywał u mnie na kolędzie, ponadto załatwiałem też w kościele różne sprawy rodzinne. Któregoś roku „po kolędzie” przyszedł z mojej parafii młody ksiądz Kazimierz Gliński. Tak mu się u nas spodobało, że wpadał potem od czasu do czasu towarzysko na kawę. Proboszcz Skonieczny rozmawiał ze mną dłuższy czas. Mówił, że „różni” do niego podchodzili i prosili o wsparcie nowych porządków. Stwierdził, że porządek jest w interesie jego i wiernych, wobec tego chce wstąpić do jakiegoś stronictwa. Powiedziałem mu, że zamierzam zapisać się do Stronictwa Demokratycznego. Bardzo zainteresowała go ta wiadomość – zastanawiał się, czy też

nie wstąpić do SD. Na następnych sesjach okazało się, że ksiądz proboszcz istotnie zapisał się do Stronnictwa. W czasie mojej długoletniej przynależności do SD spotkałem jeszcze kilku księży w szeregach naszej partii. O ile dobrze pamiętam, nie było w tym gronie tzw. „księży patriotów”.

Przewodniczącym Tymczasowej Rady Narodowej został wybrany oficer Wojska Polskiego Karol Bąkowski, członek PPR. Na pierwszej sesji Rady Bąkowski sporo mówił o powstaniu PPR. Nawiązywał także do działalności KPP w Bydgoszczy, której PPR miała być spadkobierczynią. Twierdził, że w Bydgoszczy mieszka kilkudziesięciu członków byłej KPP. Jakos nie chciało mi się w to wierzyć. Nie znałem tego środowiska i niewiele o nim słyszałem. Należy przyjąć, że byli to ludzie ideowi, bo przed wojną komunistom nikt medali nie dawał – w tej mierze należał się im szacunek. Co do ideowości działaczy PPR, to mam wątpliwości. Jak się przystępuje do partii sprawującej władzę, ideowość jest trudniej odróżnić od prywaty i kalkulacji przynoszącej profity. Było takie powiedzenie – „wstąpił do PPR za funt masła”. Partia zdawała sobie sprawę, że nie wszyscy jej członkowie spełniają kryterium ideowości, stąd nawet w pierwszych latach jej rządów co jakiś czas robiono weryfikacje, pozbywając się bezideowego balastu.

Na inauguracyjnej sesji Rady Narodowej, nie licząc przygotowanego wystąpienia Karola Bąkowskiego i prezydenta Szukszty, dominowała bezładna dyskusja. Wszyscy chcieli mówić o wszystkim. Oczywiście dominowała tematyka bytowa: dostawy prądu, gazu, wody, odbudowa uszkodzonych budynków i temat aprowizacji. Poruszono też sprawę odbudowy teatru na placu Teatralnym. Mówiono o „jakimś” uczczeniu nadania Bydgoszczy praw miejskich w 1346 r. Dyskusja wykazała, że Rada Narodowa nie była raczej gronem fachowców. Widać było, że istotne decyzje dla miasta będą wykonywały organy wykonawcze administracji miejskiej: Prezydent i Zarząd Miasta.

Na drugiej sesji Rady Narodowej, w marcu, zauważalna była zmiana układu partyjnego – większość bezpartyjnych związkowców zapisała się do PPR. W ten sposób partia ta stała się najliczniejszą w Radzie. Obsadziła także wszystkie funkcje kierownicze w zarządzie miejskim. Także reprezentacja SD w Radzie zanotowała przyrost liczebny, bowiem miała tam już 6 przedstawicieli. Do SD wstąpił m.in. dr Jan Piechocki, wtedy Inspektor Szkolny, późniejszy długoletni redaktor „Ilustrowanego Kuriera Polskiego” oraz piekarz z ulicy Gdańskiej Wincenty Bi-goński. U tego ostatniego, jak pamiętacie, często kupowaliśmy chleb pytlowy i bułki.

W połowie 1945 r. na sesji Rady Narodowej znalazła się sprawa odbudowy Teatru Miejskiego. Władze nagle zmieniły front, nie mówiono już o jego odbudowie, a o jego rozbiórce. Prezydent Szukszta ogłosił, że w ramach 600-lecia

nadania Bydgoszczy praw miejskich przez króla Kazimierza Wielkiego będzie zorganizowana wielka wystawa gospodarcza promująca miasto. Miasto miało otrzymać od rządu spore wsparcie finansowe na organizację wystawy. W tej sytuacji nie była możliwa odbudowa zniszczonego teatru i jednocześnie organizowanie wielkiej wystawy. Jednym z argumentów za zaniechaniem odbudowy teatru miał być fakt, że teatr „stanowił symbol niemieckiej dominacji w Bydgoszczy”. Z takim absurdalnym argumentem w tym czasie trudno było dyskutować.

Prace organizacyjne przygotowujące wystawę ostro ruszyły z miejsca jesienią. Powołano Komitet Wykonawczy i Organizacyjny składający się z 200 znaczących obywateli miasta. Patronat nad rokiem jubileuszu Bydgoszczy i wystawą objął Prezydent Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut. Powołano także Prezydium Komitetu z ówczesnym prezydentem miasta Józefem Twardzickim na czele. Znalaziono też ludzi od codziennej ciężkiej pracy organizacyjnej. Kierownikiem Wystawy został inż. architekt Tadeusz Nowakowski, a Kierownikiem Propagandy redaktor Józef Kołodziejczyk. Centrum Wystawy znajdowało się w parku Jana Kazimierza (obecnie Kazimierza Wielkiego), na obszarze między ulicami Gdańską, Jagiellońską i Konarskiego. W jej ramach, oprócz stoisk, można było zwiedzać przeszło 100 wytypowanych zakładów przemysłowych, warsztatów rzemieślniczych i sklepów. Ustalono oficjalną nazwę imprezy – Pomorska Wystawa Przemysłu i Handlu w Bydgoszczy, a hasłem były słowa: „Narodowi na pożytek, potomności ku nauce”. Uroczysta inauguracja imprezy odbyła się 14 lipca 1946 r. W pierwszych jej dniach zjawiał się w Bydgoszczy prawie cały rząd RP, z premierem Osóbką Morawskim na czele. Władze wykorzystały oczywiście pierwsze tego rodzaju wydarzenie w powojennej Polsce propagandowo. W Wystawie wzięło udział przeszło 1000 wystawców. Jej tereny odwiedziło 350 tysięcy osób, w tym wielu gości zagranicznych. Najważniejszą gałęzią gospodarki tam reprezentowaną było niewątpliwie rzemiosło. Ta dziedzina przedsiębiorczości w Bydgoszczy rozkwitała. Nie chciało się wierzyć, że rok po zakończeniu najokrutniejszej, wyniszczającej wojny, rzemiosło stanowi najprężniejszą część gospodarki miejskiej. W tym zjawisku występowała pewna prawidłowość ekonomiczna – swoboda gospodarcza sprzyja rozwojowi przedsiębiorczości, pobudza inicjatywę i zachęca do podejmowania działalności gospodarczej. Polacy potwierdzili, że są bardzo zdolnym i ambitnym narodem. Rozwojowi rzemiosła i prywatnego przemysłu, zwanego później drobną wytwórczością, sprzyjała dobra organizacja tych gałęzi gospodarki miejskiej. Rzemiosło bydgoskie posiadało bogate tradycje działalności. Izbę Rzemieślniczą i jej kierownictwo uważa się za inicjatorów zorganizowania Wystawy w Bydgoszczy. Przewodniczącym Sekcji Wystaw został prezes Izby Rzemieślniczej Piotr Godek, a sekretarzem Wystawy

Wojciech Fiołka, wiceprzewodniczący Izby. Zarządzaniem prywatnym przemysłem zajmowała się w Bydgoszczy Izba Przemysłowa Handlowa. Prezesem Izby był Stanisław Cytkowski, a dyrektorem mgr praw Jan Nowakowski, prywatnie jeden z moich pięciu szwagrów. Wydawało się, że sprawy idą w dobrym kierunku. Niestety, okres rozwoju rzemiosła nie trwał długo. W 1948 r. nad rzemiosłem i prywatną inicjatywą pojawiły się ciemne chmury – ideologia zaczęła górować nad prawami ekonomicznymi. Drobną wytwórczość i prywatny handel uznano za „przeżytek kapitalizmu”. Obok eksponowania osiągnięć gospodarczych odbywały się w ramach jubileuszu Bydgoszczy liczne imprezy kulturalne. I w tej dziedzinie Bydgoszcz miała się czym pochwalić. Według mnie Pomorska Wystawa Przemysłu i Handlu była dotąd najbardziej spektakularnym i udanym wydarzeniem w powojennej Bydgoszczy.

W osiągnięciu sukcesu tego przedsięwzięcia duży udział miał, wymieniony już, kierownik inż. architekt Tadeusz Nowakowski, prywatnie także mój szwagier. Pojawił się jak „meteor” w Bydgoszczy i zniknął. Chciałbym krótko przybliżyć jego sylwetkę. Przed wojną pracował w Gdyni w referacie budowlanym Starostwa Morskiego. W drugiej połowie lat trzydziestych przeniósł się do Siedlec na Podlasiu, spędził tam też okupację. Do Bydgoszczy przyjechał w 1945 r., zamieszkał wraz z żoną i trojgiem dzieci w obszernym mieszkaniu przy ulicy Paderewskiego. Zajmował eksponowane stanowisko w Urzędzie Pełnomocnika Rządu do Spraw Przemysłowych, po zakończeniu Wystawy we wrześniu 1947 r., pracował w Wojewódzkiej Radzie Narodowej. Szwagier był człowiekiem towarzyskim, kontaktowym, potrafił rozmawiać z ludźmi. Podczas trwania Wystawy często fotografował się z ministrami i ważnymi osobistościami. Twierdził, że gdyby impreza trwała dłużej popadłby w alkoholizm. Miał coś z kolorowego ptaka, trochę bon vivant – nie wszystkim to odpowiadało. W czasie pobytu w Bydgoszczy był bardzo ruchliwy, często wyjeżdżał w teren, posiadał duży autorytet. Chęć wyróżniania się nie trwała jednak długo. Co chwila groziło potknięcie w ówczesnych realiach politycznych. Decyzje kolidowały nieraz z nieżyciowymi przepisami. W pewnym momencie czupurny szwagier obraził się i zrezygnował ze stanowiska. W lutym 1947 r. wyczytałem w IKP-ie o zakończeniu odbudowy Huty Szkła Butelkowego w Łęgnowie. Inwestycję nadzorował właśnie pan inżynier Nowakowski. Rozmawiałem z nim kiedyś na temat odbudowy tego obiektu, ponieważ byłem zdziwiony, że huta w ogóle uległa zniszczeniu. Opisywałem wyżej, że w czasie ostatnich godzin ucieczki z obozu w Popiołach zatrzymałem się u mojego kolegi w budynku obok huty. Wtedy nie zauważyłem tam śladów zniszczeń. Tadeusz odpowiedział mi, że huta była mocno zdewastowana – zastanawiał się nawet, czy opłaca się ją odbudowywać. Ze szwagrem nie miałem

częstych kontaktów. Wy lubiliście wujka Tadeusza, bo był typem wesołka. Czasem zabierał was na krótkie przejażdżki samochodowe. Jako jeden z nielicznych w Bydgoszczy miał prywatne auto marki Citroen. Żartował, że konstruktorem pojazdu i właścicielem fabryki we Francji jest Polak Jan Cytryna. Pan inżynier należał do przybyszów, którzy traktowali Bydgoszcz, jako „miasto tranzytowe”. Nie wnikać głębiej w motywy jego postępowania. W decyzji powrotu na Wybrzeże widzę zdrową kalkulację, połączoną z dawnym sentymentem do tamtych okolic. Szanse Bydgoszczy do odegrania czołowej roli w życiu gospodarczym kraju malały bowiem w miarę, jak rosły szanse Gdańska. Na decyzję o wyjeździe z Bydgoszczy miała niewątpliwie wpływ jego żona Basia, która pochodziła z Gdyni. Przy końcu 1948 r. szwagier wyprowadził się z rodziną do Sopotu. Pracował długie lata w Gdańskim Biurze Projektów. Z dawnego bon vivanta nic nie pozostało – szwagier się zmienił – uznawał angielską zasadę „mój dom jest moim zamkiem”. Za zasługi w organizacji Wystawy Tadeusz Nowakowski i Józef Kołodziejczyk otrzymali złote Krzyże Zasługi.

Pierwsza siedziba, najpierw Zarządu, później Komitetu Wojewódzkiego Stronnictwa Demokratycznego mieściła się w kamienicy przy ulicy Gdańskiej 11. W 1950 r. Stronnictwo Pracy zakończyło w Polsce działalność. Część jego członków i pracowników przeszła do SD. Partia ta „w wianie” wniosła Stronnictwu Demokratycznemu w Bydgoszczy swoją siedzibę w lokalu przy ulicy Generalissimusa Stalina nr 2 (Jagiellońska), a także swój organ partyjny – gazetę „Ilustrowany Kurier Polski”. Adres Komitetu Wojewódzkiego SD był zbyt długi, w związku z tym w korespondencji, a także w mowie potocznej, stosowano po prostu skrót: ulica Stalina. W okolicy były jeszcze dwa miejsca związane ze Związkiem Radzieckim: plac Bohaterów Stalingradu, czyli Stary Rynek i ulica Armii Czerwonej, czyli Marszałka Focha. Wasza mama nigdy nie uznała powojennego nazewnictwa ulic i w każdej sytuacji, do końca życia, używała przedwojennych nazw.

Trzymając się konwencji spisywania wspomnień w formie Calendarium, opiszę okoliczności wstąpienia do Stronnictwa Demokratycznego. O istnieniu Klubów Demokratycznych wiedziałem już przed wojną. W Bydgoszczy takiego klubu nie było. W czasie wojny miałem także okazję śledzenia sytuacji w Polsce z innych źródeł niż niemieckie. Od czasu do czasu u dobrego znajomego słuchałem radia BBC. Niektórzy to radio nazywali „4 razy Bum”. Wiedziałem o powstaniu PKWN i udziale Stronnictwa w tworzeniu nowych władz. Kiedy tylko znalazłem się w Tymczasowym Komitecie Obywatelskim namawiano mnie do wstąpienia do jakiejś partii politycznej. Wybór był raczej skromny: PPR i PPS nie wchodziło w rachubę z racji ich radykalnego programu politycznego i społecznego. Nie

chciałem mieć nic wspólnego z materializmem, marksizmem i walką klasową. Stronnictwo Demokratyczne w swoim programie odwoływało się w deklaracjach do najpiękniejszych kart naszej historii: uchwalenia Konstytucji 3 Maja, Insurekcji Kościuszkowskiej, Towarzystwa Demokratycznego Polskiego i Wiosny Ludów. Miało działać wśród warstw społecznych, które nie mieściły się początkowo w sferze zainteresowania partii klasowych: PPR i PPS. Warstwami tymi była inteligencja, rzemieślnicy, kupcy i drobni wytwórcy.

Mało kto pamięta, że w latach czterdziestych organy partyjne Stronnictwa Demokratycznego miały inne nazwy. Centralny Komitet SD (CK SD) nazywał się Komitet Centralny SD (KC SD), Wojewódzki Komitet nazywał się Komitet Wojewódzki (KW SD) itd. w dół partyjnych instancji. Jeszcze w sierpniu 1949 r. odebrałem legitymację członkowską wystawioną przez Komitet Wojewódzki SD w Bydgoszczy podpisaną przez Prezesa Komitetu Wojewódzkiego Leona Szestakowskiego i Kierownika Wydziału Personalnego Komitetu Wojewódzkiego Zbigniewa Wrochnę. W którymś momencie, mógł to być właśnie 1950 r., zwrócono nam uwagę, że Komitet Centralny jest jeden, a nazwa „komitet wojewódzki” zarezerwowana są dla jednej partii. Mówiono też, żeby nie nazywać SD partią polityczną, bo partia jest jedna, a Stronnictwo jest tylko stronnictwem. Zdarzyło się, już nie pamiętam kiedy, mieliśmy także I Sekretarza KW SD i II Sekretarza KW SD. Stronnictwo miało po wojnie dwa krótkie okresy „prosperity”: lata czterdzieste i okres „popaździernikowy”, czyli po zmianach politycznych, jakie miały miejsce w 1956 r. W latach 1945–1948, w zakładach pracy powstawały koła SD nazywane często komitetami zakładowymi. Wszystko się zmieniło, kiedy w Polsce zapanował kult jednostki określany także stalinizmem. Koła SD zniknęły z zakładów pracy, nastąpił duży odpływ członków. Ludzie nie chcieli mieć kłopotów, kto miał ambicje zawodowe i chciał robić karierę zapisywał się do PPR. Stronnictwo Demokratyczne dosyć szybko znalazło się „pod lupą” Urzędu Bezpieczeństwa. Wśród naszych członków było kilku donosicieli, którzy systematycznie zdawali raporty na UB o tym, co się dzieje w SD. O bliższych szczegółach dowiedziałem się w październiku 1956 r. Można powiedzieć, że Urząd Bezpieczeństwa prowadził w tym czasie „politykę kadrową” nie tylko w SD, ale we wszystkich instytucjach i zakładach pracy. W listopadzie 1950 r. powołano mnie na przewodniczącego WK SD, a w listopadzie 1952 r. usunięto z tej funkcji z powodu „działalności antypaństwowej”. Stanowisko sekretarza WK SD stracił wtedy także były poseł Eugeniusz Czechowicz. Po zakończeniu kadencji sejmu został aresztowany i spędził prawie dwa lata w areszcie śledczym na ulicy Rakowieckiej w Warszawie. Zwolniono go w końcu 1954 r., kiedy zbliżał się okres „odwilży”.



Pola do działalności społecznej w pierwszym okresie po wyzwoleniu było co niemiara. Pilne było rozliczenie się z okupacją i skutkami wojny. Jeszcze w 1945 r. powstały między innymi trzy instytucje: Sądowo-Prokuratorska Komisja Śledcza do Badania Zbrodni Niemieckich, Wojewódzki Komitet do Badania Zbrodni Hitlerowskich na Pomorzu i Wojewódzki Inspektor Szkód Wojennych. W maju 1945 r. powstała Okręgowa Komisja do Badania Zbrodni Hitlerowskich, w skrócie OKBZH. Ta ostatnia Komisja była kontynuatką Komitetu do Badania Zbrodni Hitlerowskich na Pomorzu. Skupię się na działalności OKBZH, powołanej w maju 1945 r. Siedzibą Komisji był ciasny pokoik przy ulicy Chrobrego 12. „Użytkownikiem” tego przybytku był redaktor Józef Kołodziejczyk – człowiek z niespożytą energią – tytan pracy. Dużo przeszedł w czasie wojny, napisał „na gorąco” w 1945 r. pierwszą publikację „Prawda o Krwawej Niedzieli Bydgoskiej”. Dostyc często odwiedzałem biuro Komisji, bo było mi po drodze, do miejsca mojej stałej pracy, czyli Archiwum Państwowego na ulicy Dworcowej. Prezesem Komisji został sędzia Sądu Okręgowego w Bydgoszczy dr Tadeusz Piziewicz. Pochodził z Galicji, ale już przed wojną osiedlił się w Bydgoszczy. Dr Piziewicz był doświadczonym prawnikiem, bardzo dobrze radził sobie ze specyficzną pracą wraz z zespołem oddanych i zaangażowanych współpracowników. Ja, w latach 1945–1949 miałem stanowisko wiceprezesa Komisji. Do wykonania mieliśmy ogrom pracy, czas naglił, a środki na działalność były skromne. Musieliśmy dokończyć ustalenia miejsc mordów Polaków w całym województwie. By osiągnąć ten cel trzeba było zaktywizować lokalne społeczności wiejskie i miejskie. Należało nawiązać kontakt ze starostami, wójtami i sołtysami, leśniczymi. Sprawy transportowe załatwiał wojsko, przewoziło ludzi, sprzęt, i niestety, zwłoki. Bez udziału wojska zadanie byłoby nie do wykonania. Przy ekshumacjach asystowała milicja. Miejsca egzekucji znajdowały się na ogół w lasach, często na ich skrajach. Do odkopywania pochówków społeczności lokalne organizowały ekipy kopaczy. W odsłanianiu tych miejsc, a później wykopywaniu ciał, uczestniczyli czasami ludzie, których Niemcy wykorzystywali do zakopywania zwłok w 1939 r. lub później. Zwłoki układano w pewnym porządku, widać było, że ktoś nadzorował proces pochówku. Kiedy mieliśmy do czynienia z masowym grobem, ciała najczęściej układano warstwami, mogły być na przykład dwie lub trzy warstwy, każda oddzielona warstwą piasku. Warstwy układano w pionie i poziomie, najpierw głowa, następnie czyjeś nogi, i w ten sposób kilka ciał, obok w poziomie tak samo. Oprawcom chodziło o to, aby na jak najmniejszej powierzchni, zmieścić najwięcej zwłok. Z każdej ekshumacji należało sporządzić szczegółowy protokół zaopatrzonego w nazwiska i podpisy członków komisji. Protokół zawierał opis

miejsca, stan zwłok, ubiór zamordowanych itp. Do protokołu dołączano także zestaw fotografii.

Ekshumacje trwały wiele godzin. Starosta lub sołtys organizował najczęściej jakiś poczęstunek dla członków komisji. Czasami była to tylko herbata, innym razem wojskowa grochówka z kotła, a nawet placek upieczony przez miejscowe gospodynie. Kilka razy dostaliśmy „dobrą kawę”. Człowiek się zastanawiał wtedy, skąd ci ludzie mają „dobrą kawę”.

7 lutego 1946 r. minister sprawiedliwości Henryk Świątkowski mianował mnie członkiem Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich. Doszły mi nowe obowiązki związane z pokłosem okupacji niemieckiej. Do zadań komisji należało też przesłuchiwanie świadków na okoliczność popełnianych przez Niemców zbrodni. Świadków przesłuchiwaliśmy w siedzibie OKBZH na Chrobrego, w sądzie i od czasu do czasu w domach członków komisji.

W lipcu 1946 r. zostałem delegowany przez komisję do Poznania, celem obserwacji egzekucji zbrodniarza wojennego, oberführera SS, gauleitera i Namiestnika III Rzeszy w Kraju Warty Arthura Greisera. Prawdę mówiąc, myślałem, żeby wymigać się od wyjazdu, ale nie wypadało. Egzekucja miała odbyć się na stokach Cytadeli. Na miejscu znalazłem się pół godziny przed czasem, widziałem już wtedy nieprzebrane tłumy ludzi. Miałem specjalną przepustkę, więc jakoś dopchałem się do pierwszych rzędów przed szubienicą. Atmosfera była napięta, co chwile słychać było pomruki tłumu i wrogie okrzyki. Kordony milicji i wojska ledwo dawały sobie radę z napierającym tłumem. Gdyby nie siły bezpieczeństwa, ludzie rozszarpaliby zbrodniarza na strzępy. Wśród widzów zauważyłem sporo matek z dziećmi, a nawet dzieci chodzące i biegające samopas. Gdyby można porównywać i mierzyć nienawiść, to sadzę, że stopień nienawiści do Greisera w Poznaniu był zdecydowanie wyższy niż w Bydgoszczy w stosunku do urzędującego w Gdańsku gauleitera Forstera. Wreszcie podjechało ciężarowe auto i żołnierze wywlekli skazańca. Miałem już dość napięcia. Kiedy prowadzili go na szubienicę opuściłem miejsce egzekucji, przepychając się przez gęsty tłum. Zauważyłem, że tak zrobiło więcej osób.

18 października 1949 r. rozpoczął się przed Sądem Apelacyjnym Wydziału Karnego w Bydgoszczy proces dwóch zbrodniarzy hitlerowskich: wyższego dowódcy SS i policji w okręgu Rzeszy Gdańsk – Prusy Zachodnie – w okresie od 21.9.1939 r. do 1943 SS – obergruppenführera Richarda Hildebrandta i prezydenta policji w Bydgoszczy urzędującego w okresie od 12.9.1939 r. do 31.3.1940 r. SS-brigadeführera Maxa Henzego. Zanim ruszył proces otrzymałem od przewodniczącego Najwyższego Trybunału Narodowego w Warszawie stałą kartę wstępu na salę rozpraw i do biur Trybunału w Bydgoszczy na proces przeciwko

wymienionym wyżej zbrodniarzom. Sąd Apelacyjny w tym czasie mieścił się Bibliotece Miejskiej na Starym Rynku. Publiczność była wyselekcjonowana, na salę rozpraw wpuszczano tylko z kartami wstępu. Zbrodniarzy oskarżono o planowanie i organizowanie masowych morderstw ludności polskiej i żydowskiej. Hildebrandt odpowiadał za morderstwa popełnione w całym okręgu podległym jego kompetencji, a Henze głównie za zbrodnie popełnione w Bydgoszczy. W czasie kiedy Henze był prezydentem policji, czyli na początku okupacji hitlerowskiej, w Bydgoszczy panował największy terror. Według mnie zbrodniarze mieli uczciwy proces z zachowaniem zasad procedury karnej obowiązującej w Polsce. Władzom zależało, aby proces przebiegał w cywilizowany sposób, zgodnie z przepisami prawa. Na sali rozpraw pojawiali się też dziennikarze zagraniczni. Każdy z oskarżonych miał tłumacza i obrońcę. Hildebrandta bronił mecenas Aleksander Franckowiak, a Henzego mecenas Adam Michnik. Obrońcy oczywiście mieli trudne i niewdzięczne zadanie. Wina i wymiar kary nie podlegały dyskusji. Wszyscy wiedzieli, że oskarżeni nie „wywiną się od stryczka”. Sąd powołał licznych świadków. Prawie wszystkich świadków znałem osobiście, chociażby z tytułu działalności w Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich. Sąd na świadków powołał między innymi: redaktora Józefa Kołodziejczyka, adwokata Antoniego Szeszyckiego i właściciela winiarni z ulicy Długiej Edmunda Mateckiego. Zeznania złożyli także oskarżeni. W pewnym momencie adwokat Henzego zapytał go, czy zabił w ostatnich latach człowieka. Henze zaprzeczył. Pytanie miało sugerować, że oskarżonemu nie można przypisać winy za popełnione masowe zbrodnie, skoro sam nikogo nie zabił. Taka linia obrony była bezsensowna, bo zbrodniarz miał na sumieniu setki, jeżeli nie więcej ofiar. Wyrok zapadł 7 listopada 1949 r. Obu oskarżonym sąd wymierzył najwyższy wymiar kary – karę śmierci. Zbrodniarze odwołali się od wyroku do Sądu Najwyższego, który utrzymał w mocy wyrok Sądu Apelacyjnego. Obaj wnieśli do Prezydenta RP Bieruta prośbę o ułaskawienie. Bierut odmówił. Wyrok wykonano w więzieniu w Bydgoszczy w marcu 1951 r.

Moi koledzy prawnicy kontestowali przebieg procesu twierdząc, że sąd naruszył pewne zasady i przepisy procedury karnej. Podnosili na przykład, że sąd zbyt pośpiesznie prowadził postępowanie, ograniczając oskarżonym w ten sposób prawo do obrony. Jeden z nich nazwał nawet proces niemieckim terminem „Gallopp-Prozess”. Koledzy byli jednak zgodni, że wina hitlerowców była bezsporna, a orzeczona kara sprawiedliwa. Co do tego była przekonana także opinia publiczna.

I jeszcze jedna refleksja związana z wątkiem okupacyjnym, natury futurologicznej. Zastanawiam się, jaka byłaby sytuacja ludności polskiej na ziemiach

wcielonych do Rzeszy, gdyby okupacja się przedłużała? Sądzę, że postępowałyby proces dalszej germanizacji, na który narażone byłyby w szczególności dzieci.

Rozmawiałem w 1945 r. wielokrotnie z nauczycielami, którzy utyskiwali, że sporo dzieci w szkole mówi słabo po polsku. Ewa lat 12 chodziła do niemieckiej szkoły 5 lat, a Danka lat 10, trzy lata. Poszłyście do polskiej szkoły w lutym 1945 r. Mówiłyście, że niektóre dzieci w szkole słabo mówiły po polsku. Trudno się dziwić tym dzieciom skoro przez pięć lat chodziły do szkół, gdzie językiem wykładowym był język niemiecki, a mówienie po polsku było zakazane i karane przez nauczycieli.

W połowie 1944 r. policja zaczęła wydawać Polakom niemiecki dokument tożsamości – Kennkartę. Polacy mieli status tzw. Schutzangehöriger. Kennkartę podpisywał w Bydgoszczy między innymi wymieniony wyżej prezydent policji Karl von Salisch. W rubryce uwagi, wpisywano w niej – Schutzangehöriger i w nawiasie – eingegliederte Ostgebiete. To określenie w nawiasie można przetłumaczyć: dotyczy włączonych obszarów wschodnich, w domyśle włączonych do Rzeszy. Moja żona i ja mieliśmy właśnie Kennkarty z takim wpisem. Zastanawiałem się, jaki los chcieli zgotować nam Niemcy – coś oznacza ten niemiecki dziwoląg językowy Schutzangehöriger, którego polskiego tłumaczenia nie można odszukać w niemiecko-polskich słownikach? Historycy różnie tłumaczą to określenie. Najlepiej byłoby przetłumaczyć jako „poddany”, po niemiecku „untertan”, ale poddany w jakim sensie – czy tak jak w monarchiach, poddani w stosunku do króla czy cesarza, czy poddani, tak jak chłop pańszczyźniany wobec swojego pana, czy jeszcze inaczej? W Niemczech termin „untertan” można zamiennie użyć ze słowem „subjekt”, tak jak w monarchii angielskiej „subject”. Taki poddany miał służyć swojemu panu posłusznie i usłudźnie. Można by jeszcze tłumaczyć termin „poddany” opisowo, np. podlegający opiece państwa. W polskich opracowaniach dotyczących okupacji natknąłem się na „śląd kolonialny” w tłumaczeniu pojęcia Schutzangehöriger. Idąc tym tropem, przeglądałem opracowania dotyczące byłych kolonii niemieckich w Afryce i na wyspach Pacyfiku. Istotnie, „śląd kolonialny” może w pewnym stopniu wyjaśnić nazwę i zakres poddaństwa Schutzangehörigen, czyli Polaków w stosunku do swoich niemieckich panów. Niemieckie ustawodawstwo kolonialne pochodzi z przełomu XIX i XX wieku. W tych przepisach mowa jest o tubylcach (eingeborene) zamieszkałych na niemieckich obszarach o nazwie „Schutzgebiet” (obszar chroniony). Tubylcy zamieszkujący te tereny nie mieli obywatelstwa niemieckiego, lecz byli poddanymi lub podopiecznymi Państwa. (Schutzbefohlene des Deutschen Reiches). W odróżnieniu od tubylców Niemcy mieli niemiecką przynależność państwową, czyli obywatelstwo niemieckie. Gdyby istotnie poddaństwo w ujęciu kolonialnym było

wzorcem dla poddaństwa wprowadzonego przez III Rzeszę na obszarach polskich włączonych do Rzeszy, to miałbym podobny status prawny jak Murzyni w Deutsche Süd-West-Afrika.

Istotę poddaństwa Polaków wyłożył precyzyjnie na początku października 1939 r. szef NSDAP w Bydgoszczy Kampe, mówiąc: „My jesteśmy od rozkazywania, a Polacy od słuchania”. Po niemiecku to zdanie się nawet rymowało: „Wir haben zu befehlen und die Polen haben zu gehorchen” – po polsku jednak brzmiało groźnie i złowieszczo. Status prawny Schutzangehörigen regulowały także zagmatwane niemieckie przepisy prawne. Nie chcę jednak wchodzić tutaj w szczegóły, bo wymagałoby to żmudnej analizy prawnej.

Po wojnie władze polskie podjęły decyzję, aby obywatele używali nadal Kennkart, służących jako tymczasowe dowody tożsamości. W tym celu należało się zgłosić do najbliższego komisariatu Milicji, aby uzyskać odpowiedni stempel na okładce dokumentu. Posiadanie takiego dowodu miało duże znaczenie w pierwszych miesiącach po zakończeniu okupacji, bowiem Milicja i Wojsko często legitymowały ludzi na ulicy, domagając się pokazania Kennkarty lub innego dowodu tożsamości. Ja nie nosiłem Kennkarty przy sobie, bo z trudem mieściła się w kieszeni marynarki, a ponadto miałem już dość oglądania hitlerowskiego hakenkreuz na okładce. Jako dokumentu tożsamości używałem na ogół poręcznej legitymacji o nazwie *wykaz*, wydanej w marcu 1945 r. przez Prezydenta miasta Szuksztę dla członków Rady Narodowej.